

Łukasz Kołtuniak: Jałowy spór Orbána i Macrona. Europa w poszukiwaniu trzeciej drogi

Symetryzm nie może dziś polegać na stereotypowym ustawianiu się pośrodku i permanentnym relatywizowaniu. Rozwiązaniem nie jest symetryzm, ale szukanie nowych rozwiązań, aby znaleźć równowagę między grantową nowomową a populistycznym trollingiem – pisze Łukasz Kołtuniak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Trzy kolory i żółty?”.

Czy Macron okazał się rozczarowaniem? Na początku trzeba zapytać o nadzieje, które wiązali z nim Francuzi. Jakkolwiek by nie uwypuklać różnic między Macronem a Orbánem, ich kraje łączy jedno – przeżyły totalny upadek tradycyjnych partii socjalistycznych, podczas gdy były one u władze. François Hollande nie cieszył się szerokim poparciem społecznym, był ulubionym przedmiotem żartów zarówno prawej, jak i lewej strony sceny politycznej. Wydawało się, że jego naturalnym następcą będzie kandydat centroprawicy – François Fillon, który obiecywał twardszą politykę migracyjną i większą obecność chrześcijaństwa w życiu publicznym. Francja miała skrócić w prawo i to jeszcze mocniej niż za rządów Nicolasa Sarkozy'ego. W pewnym momencie alternatywą na prawicy dla Fillona stała się Marine Le Pen, która pokazała łagodniejszą twarz Frontu Narodowego. Jean-Marie Le Pen, poprzedni lider francuskich nacjonalistów, był dyżurnym straszakiem intelektualistów i radykałem stojącym w ostrej opozycji do systemu V Republiki; tymczasem jego córce – Marine – udało się dokonać liftingu partii. Ze swoją antyimigrancką retoryką trafiła na

podatny grunt – cała Francja była w szoku po niedawnych zamachach, które nie ominęły Paryża. Gdy pojawia się strach, budzą się emocje, niezależnie od stopnia zażyłości związków międzyludzkich pomiędzy wyznawcami różnych religii. Nawet w najbardziej tolerancyjnym kraju nie można mówić, że ludzie powinni „przyzwyczaić się do zamachów”.

Lewicowy i liberalny elektorat, któremu przejadła się partia socjalistyczna nie chciał głosować na prawicowego Fillona, zwłaszcza, że pogrzyżyły go afery. To wywołało poczucie grozy. Czy Front Narodowy sięgnie po władzę? – pytano w Paryżu.

Jowisz, który nie nazywał się Le Pen

W tej atmosferze na scenę polityczną wszedł Macron. Młody, dynamiczny, znający języki, obyty w świecie. Ale, czy oferował coś więcej? Czy Jowisz naprawdę porwał Francuzów swoją wizją? Myślę, że Macron wygrał, bo nie był ani Mélenchonem, ani Le Pen. Mélenchon był kandydatem trockistów, który paradował w mundurku à la Mao. Podczas kampanii ustawił się w opozycji do Fillona, wygłaszając tyrady pod adresem Kościoła. Jednak – w pewnym momencie – można było odnieść wrażenie, że w drugiej turze Jean-Luc Mélenchon zmierzy się z Marine Le Pen. To paradoks dzisiejszej Europ? Kandydatka prawicy – sfrustrowanej *working class*, tracącej pracę wskutek przenoszenia fabryk do Polski, a obok kandydat lewicy, który zdobył poparcie francuskiej generacji Erasmusa.

Na Zachodzie working class ma poczucie, że lewica zdradziła jej interesy, że oderwała się od klasy, której zawsze broniła

Niedawno czytałem w jednym z angielskojęzycznych portali, że młodzi polscy konserwatyści to bardzo inteligentni ludzie, ale mają dziwne

wolnorynkowe poglądy. Generacja Erasmusa zarówno w USA, jak i w Europie ma dość globalistycznego liberalizmu, ale receptę widzi w myśli Nowej Lewicy, która w Europie Środkowej budzi odruch obronny, ponieważ dziwnie przypomina komunę. Tymczasem na Zachodzie working class ma poczucie, że lewica zdradziła jej interesy, że oderwała się od klasy, której zawsze broniła na rzecz – marginalnych w jej odczuciu – grup wykluczonych. Zarówno Mélenchon, jak i „żółte kamizelki” to próba znalezienia nowej formuły dla lewicy, aby wróciła do swojej wyborczej bazy. Tymczasem Front Narodowy próbuje znaleźć formułę, w której przestanie być niewybieralny.

We Francji dość powszechna jest opinia, że to nie Macron wygrał wybory, ale Le Pen je przegrała. Raz jeszcze okazało się, że w drugiej turze wyborów prezydenckich z kandydatem o nazwisku Le Pen może wygrać każdy.

Idea, która nie wytrzymała zwycięstwa

Wracając do pytania, które postawiłem na początku tekstu, czy po roku rządów możemy stwierdzić, że Macron okazał się rozczarowaniem? Ciężko mówić o rozczarowaniu, kiedy wiąże się nadzieje z kandydatem pomyślanym jedynie jako anty-Le Pen. Macron jest zakładnikiem współczesnego liberalizmu, który z kolei jest zakładnikiem własnego sukcesu. W 1989 roku liberałowie mieli wszelki przesłanki, by twierdzić, że przed światem okres długotrwałego pokoju i dobrobytu. Jednak każda idea, która uznała, że wygrała raz na zawsze – przegrywa. Jerzy Turowicz – tuż po ostatecznym upadku żelaznej kurtyny – polemizując z tezą o końcu historii, pisał „nie dokończony jeszcze dziejów strumień, nie przepasany jeszcze glob strumieniem”. Tymczasem liberałowie, którzy stwierdzili, że wygrali raz na zawsze – zaczęli pracować na swojego Hitlera. Metaforycznie można powiedzieć, że skończyli naukę historii na 1933 roku, zapominając o tym, jakie czynniki wyniosły Hitlera do władzy. A były to: nieokiełznana globalizacja, zbyt szybkie zmiany i światowy kryzys finansowy.

Macron jest zakładnikiem współczesnego liberalizmu, który z kolei jest zakładnikiem własnego sukcesu

Europy nie zbawi też Orbán – kiedyś jedyny w regionie polityk centroprawicowy z prawdziwego zdarzenia. Jednak

współczesna środkowoeuropejska prawica musi powiedzieć sobie jasno – nie można być nowoczesnym konserwatystą i popierać systemu stworzonego na Węgrzech. Nie docierają do nas informacje o tym, że na Węgrzech nie ma już telewizji, radia, a nawet gazety, która prezentuje punkt widzenia odmienny od partyjnej linii Fideszu. Nie słyszymy o tym, że policja rozpędza pokojowe demonstracje gazem łzawiącym.

Nieliberalna demokracja to gorsza wersja demokracji liberalnej, swego rodzaju demokracja liberalna *à rebours*. To system, w którym niby ścierają się różne opcje, ale zawsze wygrywają nieliberałowie. A margines swobody jest jeszcze mniejszy. Tym, którzy nie wierzą w negatywny mit Orbána, polecam rozmowę z młodymi Węgrami pracującymi w krakowskich czy warszawskich korporacjach. To absolwenci prestiżowych kierunków, których, nawet nie ideologiczna niechęć do Orbána, ale zwyczajne warunki bytowe wypchnęły do pracy w naszym kraju.

Symetryzm nie może dziś polegać na stereotypowym ustawianiu się pośrodku i permanentnym relatywizowaniu. Rozwiązaniem nie jest symetryzm, ale szukanie nowych rozwiązań, aby znaleźć równowagę między grantową nowomową a populistycznym trollingiem. Liberalną demokrację czeka taki koniec, jak globalizację *belle époque* z końca XIX wieku i tę z lat 20., ponieważ popełniły te same błędy. Ale ciągle żyją ludzie, którzy przepracowali lekcje lat 20. i 30. Ciągle możemy stworzyć system, który zachowa to, co osiągnął świat powojennego konsensusu i to, co udało się osiągnąć w ciągu ostatnich 30 lat. Jak tego dokonać? Bardzo prosto! Pokonać zarówno Macrona, jak i Orbána.

Łukasz Kołtuniak

Fot. Jacques Paquier, CC BY 2.0